DAWID MŚCISŁAWICZ

KNIAŹ NA ŁUCKU.

Korekta podług pisowni autora.

DAWID MŚCISŁAWICZ

KNIAŹ NA ŁUCKU,

CZYLI

SMUTNE ZWYCIĘZTWO ODNIESIONE NAD MOGOŁAMI.

POWIEŚĆ WOŁYNSKA

Z XIII WIEKU

PRZEZ

M. Ż.

TOM III.

WARSZAWA,

w Drukarni S. Nowakowskiego,

przy ulicy Danielewiczowskiej Nr. 617.

1845.

Wolno drukować
z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby Exemplarzy.
w Warszawie d. 19/31 *Sierpnia* 1844 *r.*
Cenzor starszy, Naczelnik K. C. W.
NIEZABITOWSKI.

I.

Rozstanie się.

—

— Do stu sotni, — pomyślał Jordan, siedząc zadumany sam jeden przy oknie, z którego malowniczy rozsłaniał się widok na okolice. Do stu sotni, Kniaź Dawid tak się mną zajął jak sobą samym; — Zrobił mnie straźni-

kiem załogi Warażskiéj, a do wiosny podniesie zapewno do godności Starosty. Ale nic z tego, do stu sotni, nie będzie, — wolę jak prosty żołnierz pójść na wyprawę, niż siedzieć w okopciałych murach jak dumna sowa i rozkazywać tym, którzy oprócz szczurów z nikim nie będą mieli do walczenia. O nic z tego niebędzie. Teraz, pojadę, — gdyż wyraźnie sporzyć przeciw wyższéj woli niepodobna; lecz jak tylko posłyszę hasło do wyprawy, — o ho! do stu sotni, już mnie w załodzę nie będzie. Ucieknę, — wolę aby Tatar z wnętrzności moich wróżył o swoim

losie, jak siedzieć w Warażu. — Ucieknę,— Kniaź mi przebaczy a nawet oceni moją chęć do boju, bo mówiąc prawdę, cóż ja będę w zamku porabiał? — Jednak, pojadę — a później — do stu sotni, — ucieknę.

Gdy tak sam sobie radził i odradzał młody kozaczek, — przyszło mu na myśl — że przez czas pobytu w Łucku, ani razu nierozmawiał z Krasnorodą i dobrze nieprzypatrzył się wychowanicy Kniazia. Ha! — do stu sotni, zawołał, to niepodobna abym się z niemi nie zobaczył i niepożegnał Krasnorodę. Pójdę i to dziś jeszcze — bo jutro do

mojej woli niezależy, — jutro, skoro słónko zabłyśnie będę, do stu sotni, siedział na gniadoszu i wyglądał, rychło-li ten zamek Waraż, siedlisko wron i kawek, moim pokaże się oczóm. A więc pójdę i to natychmiast do stu sotni.

Piorunem wdział na się ubior przyboczników Kniazia Dawida, wybiegł i w okamgnieniu wszystkie wzdłuż i wszérz przeleciał kurytarze. Nigdzie do stu sotni żywej duszy niema, mruknął, a ja sam sobie nieporadzę, bo niewiem nawet którędy się wchodzi do komnat wychowanicy Kniazia. Zamilkł, — stanął w miej-

scu, przyczaił się i jak kot dawał baczenie na różne strony, czy skąd niedoleci jaki szelest do jego uszu. Po krótkiém oczekiwaniu wysmyknął się z podwojów, młody, lat piętnastu dworzanin i w ciągłych wybrykach zdążał w prost do Jordana.

— Stój — kozacze — dokąd do stu sotni lecisz.

— Niosę owoce od p. Dysława dla wychowanicy Kniazia, odrzekł zmięszany dworzanin.

— Ale, do stu sotni, — dźwigać dwie razem plecionki — to dla ciebie za ciężko — Daj mi jedną — ja zaniosę.

— Niemogę.

— Co? — do stu sotni, niemogę, — ja tak chcę i koniec. No — ruszaj naprzód, a gdy ona zjé jeden koszyk ja z drugim zaraz nadśpieszę.

Młody dworzanin niemógł długo sporzyć, widząc tak zuchwałego przed sobą mołojca w ubiorze przybocznikó w Kniazia, wszedł więc tylko z jedną plecionką owoców, a Jordan przyczaił się do szklannych podwoi i badawczo wgłąb komnaty zaziérał.

— Hą! do stu sotni, mruknął, jest ona i nie sama; — przy niej Krasnoroda i hurma młodych szatnic. Dla Boga! co widzę! — rozerwali w powietrzu owoce jak

psy, do stu sotni, zająca; wkrótce więc będę musiał im się pokazać. Ale — muszę też wprzód dowiedzieć się o czém one z sobą będą rozmawiały. Ty kozacze, mruknął do wychodzącego dworzanina, precz do stu sotni odemnie. Bądź pewny że im owoce zaniosę No — i czegóż stoisz — do stu sotni — ruszaj!

Dworzanin odszedł a Jordan przylgnął do drzwi jak pajęczyna.

— Zazdroszczę ci Krasnorodo, rzekła wychowanica Kniazia, że jesteś z jednych strón z tak uprzejmym i grzecznym mołojcem.

— Tak jest, z jednych strón:

słoboda Kurzastopka leży na kwadrans drogi od Trojanowa.

— A więc to coś mi nieraz mówił, jest niezawodną prawdą?

— Najniezawodniejszą. Maryja wnuczka Bożeny jest moją sąsiadką — a jéj brat... Krasnoroda zarumieniła się za swój pośpiech i zamilkła.

— Cóż jéj brat? - Krasnorodo — nieskończyłaś? — a ja chcę wiedzieć o wszystkiém dokładnie,— rzekła Wanda tonem rozkazującym

— Jéj brat, jest moim narzeczonym

— Twoim narzeczonym? — nic dotąd podobnego niesłyszałam

A czy on tak krasiwy i grzeczny jak syn Starego Posadnika? zapytała Wanda z usmiéchem.

Tu zaostrzyła się Jordana ciekawość i niepomnąc na to że może być postrzeżonym przytknął twarz do szyby.

— O — nie — odrzekła rumieniąc się Krasnoroda, — ale jak miły, wesoły i odważny, to mu nikt wyrównać niemoże.

— Dla czegoż on w słobodzie siedzi jak ptaszek w klatcę, kiedy zewsząd młodzież zjeżdża do zamku i gotowi się na Tatarską wyprawę.

— Przeciwnie Wando,—on już oddawna jest w zamku i został

umieszczony w hufach przybocznych Kniazia Dawida.

— Czy to być może? — A czemuż dotąd niepokazał się tobie? — On niemusi cię kochać.

Krasnoroda zamiast odpowiedzi odwróciła się do drzwi dla pokrycia swojego zmięszania. — Ah — dla Boga! to on! — krzyknęła z przerażeniem i oczy spuściła w ziemię.

— Kto taki — on — zapytała ciekawie wychowanica Kniazia

Nim Krasnoroda zdobyła się na odpowiedź, wszedł Jordan, a podając owoce Wandzie, rzekł śmiało: — Młody dworzanin — do stu

sotni, upadł ze schodów i niemógł wypełnić rozkaz mu dany — otóż ja go wyręczyłem.

— Pierwszy raz cię widzę, — skąd jesteś kozacze?

— Ze słobody Kurzastopka.

— A więc musisz znać tę czarnobrewę, zapytała z uśmiechem pokazując na Krasnorodę.

— Ja — do stu sotni niemiałbym znać córkę Borysa? — wszak to moja sąsiadka?

— I nic więcéj?

— Hm — do stu sotni — i nic więcéj.

Wanda spójrzała wesoło mu w lice; jego bowiem rubaszność

niezmiernie się podobała. Jak się nazywasz — rzekła dla przerwy milczenia.

— Jordan Owada.

— Owada? — krzyknęła Wanda z podziwieniem.

— A tak — do stu sotni — Jordan Owada.

— Dziękuję ci kozacze za twoją usłużność, odrzekła Wanda zaledwie słyszanym głosem — i odwróciła się w przeciwną stronę.

Jordan mrugnał i uśmiéchnął się do Borysowny, która przez cały ciąg rozhoworu, z niego nieściągała spójrzenia, a niemogąc utrzymać w tajni rzeczywisty powód swojego przybycia, na pół

słyszanym przemówił głosem. — Krasnorodo, — jutro skoro na dzień wyjeżdżam z zamku,—lecz, ażebyś niesądziła, że przy wysokich łaskach Kniazia miłościwego o tobie, do stu sotni, zapomniałem. — przybyłem umyślnie dla pożegnania.

— Czy tak? — zawołała z pośpiechem Wanda, — wyjaśniła się więc rzecz cała: — dworzanin kniaziowski nieupadł.

— Przyznaję się do winy, odparł śmiało Jordan, — bo odwaga i otwartość jest do stu sotni, godłem Owadów rodu.

Po wyjściu Jordana, co natych-

miast po téj odpowiedzi nastąpiło, Wanda jeszcze raz powtórzyła: Owada — i pogrążyła się w dumaniu — a Jordan posłyszawszy swoje nazwisko, zawołał: Do stu sotni — co to ma znaczyć? — Kniaź Dawid, Homir i Wanda lękają się mego imienia, jak szatan święconéj wody; niewiem czy i Tatar z równém przerażeniem będzie o mnie wspominał, gdy mu powiém że jestem do stu sotni, Jordan Owada.

Praworny Jordan zawsze przystawał tylko z Bojarami i to na rycerskich salach, gdzie nigdy płeć piękna ani się pojawiła; z tego powodu jego znalezienie się

było nacechowane śmiałością i otwartością, które z ust innego mołojca, mogłoby zrodzić oburzenie, ale jemu ta rubaszność tak była stosowną, że bez niéj możeby niemógł pozyskać serce swoich przewódzców i współbratów. Że go lubili można z tego sądzić, iż wszyscy za nim tęsknili, jeśli im przez cały dzień się niepokazał, i wyglądali go jak przybysza, w którego oczach błyszczało to hasło: precz smutki i troski, bo Jordan z wami.

Wszyscy więc niezmiernie ubolewali, dowiedziawszy się o jego wyjeździe; nawet Prakseda Homirowa zmieniła swój wiecz-

nie wesoły humor, gdy przyszedł z nią się pożegnać.

Przyobiecywała mu ona wyjednać u Kniazia, przez męża lub Artemona, pozostawienie go w zamku, ale on, nieżycząc sobie być jéj obowiązanym wdzięcznością za taką usłużność, odrzekł stanowczo, że woli jechać do Warażu, jak ją narażać na zabiegi, których skutek, do stu sotni mógł być niepomyślny.

Jeden tylko Wiarus, niezmiernie był tym wyjazdem zadowolniony, a gdy jeszcze się dowiedział o jego natrętnéj bytności w komnatach wychowawnicy

Kniazia, pragnął więc najgoręcéj pozbyć się go jednéj godziny z zamku.

To szatan — nie człowiek, mruczał on bezustanku, na wszystko się odważy bez długiego namyślenia. To szczęście, że on, jak słyszałem, zepsuł swoją mową, wesoły humor Wandzie, inaczéj nieczekając pytania, byłby się wygadał, że mój panicz miłuje jego siostrę, i że przed pójściem na wyprawę Tatarską ma się z nią połączyć. Wszystkieby naówczas moje namowy, wszystkie układy Artemona i życzenia Starego Posadnika w łeb wzięły. Wychowanica Kniazia ani pa-

trzyćby chciała na mojego panicza; zadałaby gwałt swojéj miłości i pogardziła nim jak człowiekiem zdradzającym zaufanie w nim położone. To wielkie szczęście!

W tak różno-uczuciowych marzeniach zastał go jeszcze Jordan, lecz mniéj zważając na jego dąsy, począł drumkać na torbanie wesołe śpiéwki; — nareszcie groźnym tonem zawołał: — Gdzie jest p. Dysław? — Ucieka do stu sotni, odemnie jak cień przed słónkiem, a mnie zaledwie kilka godzin jeszcze pozostało do przepędzenia w tym zamku.

— Jak to — czy p. Jordan od

nas wyjeżdża, zapytał Wiarus z podziwieniem.

— Ho — ho kozacze, z ciebie lis stary. Udajesz że o niczém niewiész a włazisz, do stu sotni, każdemu w ucho jak natrętna mucha.

To niemiłe dla winnych przysłowie: zdechł pies,— sprawdziło się na Wiarusie, skoro posłyszał tak ostry przytyk. Zbladł i przygryzł aż do krwi język, a Jordan znowu począł drumkać na torbanie. Po chwili ozwał się: — Ależ mi niepowiedziałeś, gdzie jest, — do stu sotni, — p. Dysław.

— W zamku, — sprawuje służbę przy Kniaziu Dawidzie.

— Albo — Wtém przerwał mowę, w takcie albowiem najczulszéj przegrywki pękła na torbanie stróna. Tam — do stu sotni, zawołał, — niebędę miał na czém grać nawet, w tym przeklętym Warażu.

Przezorny Wiarus zadrżał, posłyszawszy ten wyraz — albo — był bowiem najpewniejszym że Jordan chciał wyrzec — albo przy Wandzie; — błogosławił więc to pęknienie stróny, które rozhowor do innego skierowało przedmiotu

— Więc p. Jordan jedzie do

zamku Warażskiego, zapytał z pośpiechem.

— A tak — do stu sotni — jadę, dla objęcia dowództwa nad załogą, która noc i dzień może się wysypiać bezpiecznie, jeśli jéj tylko puhacze i szczury nieprzeszkadzają.

— Co też p Jordan powiada? — w téj załodze zawsze Kniaź miłościwy naznacza takich Bojarów na strażnika, którzy się ozdobili niejednym wawrzynem.

— A że ja do wawrzynu niémam jeszcze najmniejszego prawa, przeto do stu sotni — niebardzo mnie cieszy moje przeznaczenie.

To rzekłszy, wziął się szczérze do nastrojenia torbanu, co gdy dopełnił zajął się li-tylko muzyką.

Zaledwie pod wieczór Dysław pokazał się Jordanowi, a dla przekonania jak wiele czuje nad jego wyjazdem, pozostał w domu, pomimo wezwania na galę zamkową. Jordan podziękował mu szczérze i otwarcie za jego grzeczność i począł z nim bałakać o swoim postępie w sztucę wojennéj i pochwałach jakie odbiérał nietylko od starych Bojarów lecz i od Kniaziów.

— Niezmiernie mnie to cieszy, przemówił z uczuciem syn

Lassoty, że twoja chęć służenia dla dobra kraju, tak mile u Kniazia przyjętą została; lecz jeszcze bardziéj cieszyć się będę, jeżeli z sobą zdybiemy się na polu bitwy z Tatarami

— O — bez tego — do stu sotni — obejść się niemoże. Ja mam nadzieję, że mnie Kniaź Dawid niezechce więzić w zamku jak jakiego niedołęgę. Przecież ja niestracham się ani wróżb, ani zaklinań pogan zabobonnych. — Z resztą — do stu sotni, — ja sam sobie poradzę

— Właśnie w téj myśli miałem o tobie pogadanie z Kniaziem miłościwym. On cię przeznaczył

strażnikiem załogi jedynie dla tego, aby bez narażenia Starszyzny, mógł zrobić dowódzcą hufów przeznaczonych na wyprawę. On mi powiedział że dla rodziny Owadow ma pewne obowiązki, lecz za co — niechciał wyjaśnić powodu i zostawił czasowi.

— Mniejsza o to — zawołał wesoło Jordan — ja tém się cieszę że wybrnę kiedyś z téj przeklętéj załogi. O gdybyś mi p. Dysławie dał, do stu sotni — łańcuch złoty zdobiący pierś twoją, niebyłbym tyle, co tą nadzieją, zadowolniony.

Długo jeszcze w rozmaitéj tre-

ści ciągnął się między nimi rozhowor. Syn Starego Posadnika dla osłodzenia smutku, siadającego jak sęp na grobie na jego sercu, bezustannie wychylał puhary, aż nareszcie sen ich zmorzył.

II.

Zabiegi uskutecznione.

Wyjazd Jordana, był tém dla syna Lassoty, czém dla bezbożnego rozpustnika ofiara śmierci spoczywająca na marach. Padł on w głębokie zamyślenie; zbił w jeden obraz całą przeszłość i łzy żalu spłynęły na blade lica, wi-

dząc że przebieg tak krótki życia, zbrudzony jest zdradą niewinnéj istoty, która ciałem i duszą poświęciła się jego niegdyś szczeréj, a dziś obłudnéj miłości. Drżał on jak bezbożny rozpustnik, do którego śmierci ofiara przemawia głosem prawdy, że i jego tenże sam koniec czeka, że prędzéj, czy późniéj będzie musiał zdać sprawę z swoich czynności przed Najwyższym sędzią. Czuł on szpetność swojego postępku, lecz czuł zarazem i wielką niemożność cofnienia już tych kroków, do których zaślepienie się w marnych błyskotkach, jego zachęciło.

Można wyznać prawdę, że on kochał namiętnie Maryję i gdyby nie łaski ciągłe Kniazia Dawida, gdyby nie napominania Wiarusa, że Stary Posadnik nigdy niepobłogosławi jego małżeństwa ze słobodzianką, - gdyby nakoniec nie namowy Homira i Artemona, onby nigdy o niéj niezapomniał i swoje szczére przyrzeczenie doprowadziłby do skutku.

On, jak przystało na człowieka szlachetnie myślącego, był w jéj domu zaraz po wyzdrowieniu i powtórzył przysięgę, że chyba śmierć od niéj go oddzieli. Późniéj. przed wyjazdem do Łucka,

padł z zapłakanémi oczami do nóg Bożeny, prosił przebaczenia za nadużycie położonéj w nim, ze strony wnuczki, ufności i błagał o pobłogosławienie ich zwiazków. Poczciwa Bożena z miłości do Maryji, a bardziéj dla ocalenia jéj sławy, przychyliła się chętnie do jego prośby On powrócić miał przed nadchodzącą wiosną i z Maryją, pomimo wiedzy ojca połączyć się na wieki.

Maryja — biedna Maryja, płakała z radości, gdyż niewierzyła swojemu szczęściu. Babka ją ciągle pocieszała, — ale jéj pocieszenia niczémby były, gdyby w czasie niebytności Dysława, nieod-

zywały się w jéj sércu, te pożegnalne wyrazy: — Maryjo, moje życie! bądź spokojna! — ja o tobie nigdy niezapomnę.

— Mój Boże — powtarzała ciągle ona, — Dysław mnie tak kocha, a ja tak długo niewierzyłam jego miłości; niewierzyłam aby mógł dla mnie poświęcić los tak świetny, jaki go czeka w zawodzie rycerskim, przy wysokiém urodzeniu i tylu zabiegach.

Biédna — marzyła ciągle o jego zaszczytach i o swojém szczęściu, bo nieprzypuszczała do duszy téj myśli, aby on dla niéj mógł się zmienić i chociaż on

coraz rzadziej dawał o sobie z Łucka wiadomość, ona go ciągle tłumaczyła, że obowiązki służbowe są tego milczenia niezawodnie przyczyną. Gdy syn Lassoty nie przybył na czas naznaczony, wówczas dopiéro pomyślała sobie, że on mógł o niéj zapomnieć, — że może ją już niekocha. Poczciwa Bożena patrząc na jéj cierpienia i łzy, z powodu których, codzień zapadała bardziéj na zdrowiu, pocieszała ją jak mogła, a Maryja, dla umniejszenia bolu swojéj babce, poprzestała przed nią się użalać: wolała znosić niepodzielnie swoje męczarnie, jak przyczynić się do jéj cierpień.

Nareszcie poczęły biegać wieści, że Dysław w największych łaskach u Kniazia Dawida zostaje, — że coraz ważniejsze i wyższe wkłada na niego obowiązki, że go nareszcie zamyśla połączyć z swoją wychowanicą. — Stary Posadnik, do którego naprzód dochodziły te wiadomości, namawiał swych dworskich, aby je rozgłaszali w Kurzastopcę; on bowiem przez Wiarusa był zawiadomionym o stosunkach swojego syna z Maryją, — chciał więc tym sposobem, odebrać jéj nawet nadzieję. Biédna Maryja, słysząc o tak okrutnéj prawdzie, która się potwierdzała milczeniem Dy-

sława, — chociaż utajała w sobie troski, jednak niszczyły one jéj zdrowie: cierpienia duszy, z całém wysileniem uderzyły na jéj ciało, i ona raptownie poczęła blednąć, jak obłok, — gdy się od niego coraz bardziéj słónko oddala.

Gdy biédna Maryja z każdą godziną zbliżała się do grobu, syn Lassoty otoczony swoimi doradzcami, każdy dzień obok wychowanicy Kniazia przepędzał. — Zabawy jedne po drugich następowały w zamku, a on tak był niemi zaprzątnięty, że nawet dla pozornego pocieszenia Maryji niemiał czasu wysłać posłańca. —

W piérwszych chwilach wikłania się w sidła przez Artemona zastawione, powtarzał on sobie nieraz: Dysławie — co robisz? — ty jesteś szalony! — Lecz — nareszcie i te wyrzuty przestały go dręczyć: on swoją przeszłość przygniotł kamieniem niepamięci jak zjadliwego robaka, który mu zakłócał wesołość i spokojność.

Najlepszym tego dowodem, może być następna, bezczelna rozmowa, jaką miał z Wandą podczas uczty, danéj już po wyjeździe Jordana.

— Dysławie! ty ciągle myślisz o rodzinnéj stronie? — przemówi-

ła wychowanica Kniazia tonem wymówki.

— Myślę, odrzekł, ponieważ mam ojca już w podeszłym wieku, ciągle cierpiącego; lada więc chwila może ten świat pożegnać i mnie osierocić.

— Czy więcéj niémasz nikogo za kim byś miał tęsknić?

— Miałem jeszcze matkę, rzekł z westchnieniem, lecz ta, otrzymałem niedawno wiadomość, że umarła.

— I więcéj nikogo!

Syn Lassoty zadrżał, zarumienił się słysząc po raz drugi, jedne i też same pytania, — scicha odrzekł:— nikogo.

— A Maryja, czy do waszego serca niéma żadnego prawa!— zapytała go ciekawie.

— Żadnego, odparł stanowczo,— moja z nią znajomość, była zawsze w pewnych ocenienia siebie granicach.

— Mnie powiedziano że byłeś z nią zaręczony.

— Nigdy— mylisz się Wando Kiedyś wyznam prawdę, dodał z uśmiechem, przyjemnie mi było odbiérać jéj wynurzenia miłosne nacechowane prostotą. Lecz teraz... — Niechciał dokończyć i tylko Wandę ścisnął za rękę.

— Czy tak?

— Nieinaczéj. Dla czegóż bo-

wiem miałbym mówić przed tobą nieprawdę?

— Ja jednak obawiam się abyś znowu niewrócił słuchać jéj prostodusznych wynurzeń. Ty o niéj bezustannie myślisz.

— Wando!— wcale nie. U niéj dzisiaj inne zupełnie zamiary. Ona ma wyjść za mąż za Cierpimira sotnika słobody Kurzastopka.

— Czy za tego, któremuś u Kniazia wyjednał przebaczenie i wolność służenia w hufach zakupnich.

O nie— Wando— to był Zegota, prosty słobodnik przekonany

o kradzież, a sotnika tyś nigdy niewidziała

Po takiéj rozmowie niemożna nawet przypuścić, aby syn Lassoty mógł kiedy o Maryji pomyśléć. Zresztą, nic mu ją nawet nieprzypominało. Jordan do stu sotni, wyjechał — Artemon ciągle powtarzał, że prędzéj Stary Posadnik do Kniazia Dawida, jak on do swojego ojca przybędzie, z powodu, że obowiązkiem jest dowódzcy hufów, być ciągle na służbie; — a Wiarus, wiecznie unosząc się nad szczęściem swojego panicza, bezustannie gadał, że ojciec jego zaledwie

będzie mógł wierzyć tak wielkiéj łascę Kniazia.

Dzień po dniu ubiegał, czas ślubu Wandy z Dysławem się zbliżał, a Stary Posadnik nieprzybywał. Nagle, okropne przemiany nastąpiły w Łucku: Kniaź Dawid wraz z synem Andrzejem wybierał się do Kijowa, skąd wraz z innymi Kniaziami miał już pójść na wyprawę; dla ustalenia więc losu swojéj wychowanicy nakazał, aby ich ślub się odbył w dworze Starego Posadnika, którego o tém, już przez posłańca zawiadomił. Przytém, wydał rozporządzenie aby Artemon zastępujący miejsce ojca

Wandy, towarzyszył w podróży, a Dysław, dopiero w pierwszych dniach wiosny przybył do hufów, dla objęcia włożonych obowiązków.

III.

Pocieszenie.

Syn Lassoty w okropnym był kłopocie. Wolałby sam jeden pójść na Tatary jak wracać do Trojanowa, gdzie go najstraszniejsza oczekiwała burza. Widział on przed sobą Maryję błagającą ze łzami na kolanach, aby dotrzy-

mał przyrzeczenie, lub przynajmniéj dla uratowania jéj honoru zawarł z nią śluby małżeńskie; — to znowu widział Bożenę, która jak piekielna furyja stawała przed nim i wyrzucała mu podłość. — Drżał więc jak winowajca nad którym wyrok śmierci już doczytuje Diak sprawiedliwości. — Lecz jakże uniknąć téj burzy? — On rozpaczał — sam niewiedział co począć. Chciałby prosić Kniazia aby go wezwał do Kijowa a ślub na czas późniejszy odłożył, to znowu chciałby prosić Artemona, aby tu w Łucku nareszcie, mógł się odbyć obrządek ślubny; — lecz nieśmiał nawet

z tém się ozwać: na poparcie swojéj prośby, musiałby przyznać się do wielkiego grzechu, — co właśnie jego możność przechodziło. Siedząc po kilka godzin samotnie w komnacie, marzył nad okropném położeniem. Zginąłem, — mówił nieraz do siebie, — ja nieprzeżyję tych wyrzutów, tych zgryzot sumienia; — ja niezniosę widoku ofiar mojéj zdrady, — podłości mojéj

Tak okropne przypuszczenia, już mu nasuwały myśl ratowania się ucieczką z Łucka i szukania dla siebie losu w Litwie lub w Polsce, gdy wszedł jego wierny kozak z zawiadomieniem, że

Kniaź Dawid przyjmuje u siebie Starszyznę, dla pożegnania się, ponieważ dziś jeszcze wyjeżdża z zamku.

— Od kogo powziąłeś o tém wiadomość, zapytał go, — ja byłem najpewniejszy że Kniaź jeszcze dni kilka zabawi w Łucku.

— Przypadkowie podsłuchałem rozhowor Krasnorody z wychowanicą Kniazia, — odrzekł Wiarus. Biédna Wanda, bezustannie płacze i mdleje — ona powiada że wielką klęskę dla siebie przeczuwa.

Syn Lassoty tak mocno zmartwił się tą wiadomością, że niemógł słowa przemówić. Chodził

szerokim krokiem po komnacie i ciężko wzdychał. Wiarus dla pocieszenia swojego panicza znowu się ozwał: — Stary Artemon jest zatém, aby Kniaź Dawid wstrzymał się jeszcze z wyjazdem; właśnie poszedł w tym celu na salę. Ale ja wątpię aby jego namowy wzięły pożądany skutek: Kniaż nasz miłościwy co postanowi od tego pewno nigdy nieodstąpi. Chyba że go uprosi aby po drodzę zajechał do Trojanowa, kilka dni zabawił u Starego Posadnika i był obecnym przy ślubie wychowanicy.

— Cóż on w tém ma, aby Kniaź koniecznie odwiedził mo-

jego ojca — zapytał z gniewem, gdyż przeczuwając równie jak Wanda wielką dla siebie nieprzyjemność, wcale nieżyczył, aby ona w obec miłości wego Kniazia, mogła go spotkać.

— Zapewno tym sposobem chce umniejszyć cierpień wychowanicy, — odrzekł spokojnie Wiarus, — później bowiem, kiedy ona panicza małżonką zostanie, to zastąpicie miejsce ojca, opiekuna i Kniazia, za którym bezustannie płacze i rozpacza

Dysław ciężko westchnął: słowa kozaka, znowu w jego du-

szy najboleśniejsze myśli zgromadziły

— Ale i mój panicz, — zagabnął Wiarus,—czegoś smutny, jak gdyby przystępował do pogrzebu, a nie do weselnych godów. Może wyjazd Kniazia i was tak zasumował.

— Nie wyjazd Kniazia, mój wierny kozacze, tak mnie dręczy, odrzekł syn Lassoty, — bo prędzéj czy późniéj, złączę się z nim na polu bitwy, lecz mnie frasuje mocno przeznaczone miejsce, do ślubnego obrzędu Jabym już niechciał być w Trojanowie, a z Łucka prosto puścić się na wyprawę.

— Niewiedzieć czego zachciewa się paniczowi; — a przecież lepiéj przepędzić miesiąc jaki spokojnie u ojca, w rodzinném dworze wraz z małżonką tak krasiwą i młodą, jak tłuc się po czaharach i rozdołach.

— Rzecz nie o to idzie, mój kożacze, — ja Wandę tak miłuje, że mi z boleścią przyjdzie, z nią się rozłączyć; — ale po co mamy być w Trojanowie, kiedy ojciec mógłby tu do nas przyjechać.

— Hm — pojmuję co panicza tak bardzo udręcza Lecz gdybyście mogli wiedzieć o wszystkiém, — to frasunek poszedłby precz od waszego serca.

— Wiarus,— co ty mi przez to chcesz powiedzieć, zapytał Dysław z podziwieniem

— A to — że Stary Posadnik już tak dobrze rzecz ułożył, że ta stara czarownica z swoją wnuczką, ani zajrzy do Trojanowa. — Nawet dla większéj pewności pokoju domowego, kto wié, czy ją ze słobody niewysłał gdzie w zadnieprowską ziemię.

— Cóżby to wszystko miało znaczyć?

— Ojciec panicza, był oddawna przezemnie zawiadomiony o jego silném zamiłowaniu w Maryji;— a teraz kiedy się zbliża stanowcza chwila i ślub panicza

ma się odbyć w dworze, to niezaniedbałem przestrzedz Starego Posadnika, aby wszelkie usunął odwiedziny, mogące nietylko nieprzyjemność, niepokój, ale i osromienie wnieść do jego domu.

— Słuchaj kozaeze, w innym składzie rzeczy, możebym tobie mieczem za tę usłużność podziękował, lecz dzisiaj, kiedy pokazanie się Marji, nietylko mogłoby zatruć wesołość, ale nawet raz nazawsze położyć tamę mojemu nadal szczęściu i zepsuć łaskawe przyjęcie jakie mam u Kniazia, — mogę więc przyznać że masz wiele przebiegłości.

— Ej paniczu, — odrzekł we-

soło Wiarus, — każdy człowiek dopóki młody to musi grzeszyć, ponieważ tym tylko sposobem nabiéra doświadczenia czego się ma wystrzegać; — a że starość oswobadza go od podobnych błędów, ma więc sobie za obowiązek innym doradzać

Syn Starego Posadnika, tak mocno był zagabany rozmaitémi myślami, że nawet niesłyszał o czem Wiarus rozprawiał. Chodził po komnacie i ciągle to głową kręcił, to mruczał, to machał rękami; — w końcu przypomniał sobie, że Kniaź Dawid, ma dziś wyjechać z Łucka i że dla pożegnania, przyjmuje w posłu-

chalnej sali Starszyznę, uznał więc za konieczność pokazanie się jeszcze raz téj osobie, która nim się zajmowała jak losem własnego dziecka.

Kniaź Dawid przyjął go łaskawie, przedstawił Starszyźnie jako przyszłego męża swojéj wychowanicy i rzekł: — Szlachetne postępki, dobre serce i zapał tego młodzieńca do boju, niemogłem inaczéj wynagrodzić jak oddaniem mu ręki najdroższéj mi Wandy.

Syn Lassoty z radością słuchał te pochwały, a chcąc okazać za nie swoją wdzięczność,

odezwał się w te słowa: — Łaski miłościwego Kniazia, jakiemi każdodziennie byłem obsypywany, chociaż mi wiele przynoszą zaszczytu, jednakże ostatnia chwila stanowiąca mój los na przyszłość, przyćmiewa chmurą smutku z tego powodu, że Kniaź miłościwy nieraczy być świadkiem naszego ślubu i nas wyprawia do Trojanowa.

— Dobry kozacze! — odrzekł Dawid, — obowiązki względem pomyślności kraju włożone na mnie Najwyższą Opatrznością, wymagają koniecznie mojej obecności w Kijowie, gdzie ma być złożona ze wszystkich panują-

cych Kniaziów ostateczna rada poprzedzająca wyprawę przeciw dzikiemu narodowi, który nam zadał przez mordy i pożogi niemało strat w ludziach i majątku. Artemon więc, mój niegdyś towarzysz broni a zawsze wierny przyjaciel i doradzca, zastąpi we wszelkich paradach ślubnych moją nieobecność, do czego upoważnia go nietylko moja wola, ale i troskliwe, prawdziwie ojcowskie opiekowanie się wychowaniem i przyszłym losem Wandy. Co się tyczy obrania miejsca do tak świętego obrządku, uczyniłem to w myśl życzeń twojego ojca, któremu

bliżéj jest wiadoma moja troskliwość, względem zabezpieczenia losu wychowanicy, jak tobie, szukającemu w niéj tylko dobroci, przywiązania i miłości.

Zaledwie Kniaź skończył mówić, wszedł Artemon i Wanda; piérwszy dla pożegnania się ostatecznego, gdyż był pewnym, że wiek jego podeszły, już nie pozwoli mu oglądać więcéj Kniazia,—a druga, dla otrzymania jeszcze raz błogosławieństwa.

Nastąpiła więc chwila smutku i płaczu. Bojarowie, podczas czułéj pożegnalnéj mowy Kniazia, byli pochmurni i milczący;—

Wanda zalewała się łzami, a Dysław, Artemon i Homir nadaremnie przywoływali moc męzkiego ducha; — łzy żalu napełniały ich oczy. Kniaź Dawid, czy dla skrócenia tak przykréj chwili, czy dla utajenia boleści wyrytéj na twarzy, przeszedł wraz ze Starszyzną do wiecowéj sali. Ztamtąd, w kwadrans po tem, wyjechał z zamku.

Syn Lassoty, dnia tego nieodstępował ani na krok od Wandy, niemogącéj ukoić w sobie żalu. Ona, na co tylko spójrzała, wszystko jéj przypominało nieobecność Kniazia, dla którego czuła niewysłowioną wdzięczność

Dysław pocieszał ją ciągle, wszelkie jednak zapewniania powrotu Kniazia Dawida do Wołyńskiéj ziemi, niebyły dla niéj pocieszeniem, aż nareszcie, musiał jéj przyrzec, że w kilka dni po ślubie pojedzie wraz z nią do Kijowa, gdzie będzie mogła jeszcze raz widzieć się z Kniaziem. Wówczas uspokoiła się i poczęła Artemona błagać, aby przyśpieszył wyjazd z zamku, w którym ona ani na chwilę spokojną być niemoże.

Nazajutrz przed południem puścili się w podróż. Homir wraz z Praksedą towarzyszył im aż do Dubienki; a syn Lassoty na swym

cętkowatym rumaku, ciągle harcował przy kolasie pomieszczającéj w sobie Wandę, Krasnorodę i Artemona. Dopiéro, na kilka godzin od Trojanowa, puścił się naprzód z przybocznikami, dla uprzedzenia ojca o zbliżaniu się tak zaszczytnych gości.

Stary Posadnik z najżywszą radością powitał syna. Zadawał mu tysiączne pytania o Kniaziu i o Bojarach, nareszcie zakończył tém wyznaniem, że tę chwilę, w któréj ujrzy krasiwą synowę, policzy za najszczęśliwszą w swém życiu.

Wkrótce stary Lassota wyjechał z dworzanami na ich spot-

kanie i tak dobrze czas wymiarkował, że zdybał się z nimi już przy kołowrocie miasteczka. Młoda dziewica na widok tak poważnego Bojara, przypominającego wiele Kniazia Dawida, zapomniała o smutku, a gdy wstąpiła w progi jego starożytnego dworu, gdzie ją krasiwy moło ec a przyszły małżonek powitał z chlebem i solą, — to tylko jedno uczucie z radości opanowało jéj serce.

Stary Posadnik z Artemonem, niemógł się nagadać o dawno ubiegłéj młodości przepędzonéj razem na usługach krajowi, a puhary napełnione winem bezu-

stannie wychylał, na uczczenie pamięci poległych w boju mężów, — i gdyby nie to, że zacni przybysze strudzeni kilkodniową podróżą, potrzebowali spoczynku, niezawodnie różowa jutrzenka zastałaby ich przy rozhoworze i puharach.

Stary Lassota długą jeszcze miał naradę z synem, względem urozmaicenia czasu zabawami, dla młodéj wychowanicy Kniazia. I na tém rzecz stanęła, że Dysław miał objechać wszystkich sąsiadów i sprosić na kilkodniową ucztę.

Ciągły ruch w mieście, tłocze-

nie się zewsząd mieszkańców do dworu, podały wszystkim sposobność do rozprawiania o sutéj gali mającéj nastąpić na przyjęcie przyszłéj małżonki syna Lassoty, — a z ust do ust przechodząc tak zajmujący rozhowor, niepodobna, ażeby niedoszedł do wiadomości biédnéj słobodzianki. Cóż się podówczas dziać w jéj sercu musiało, gdy o zdradzie zaufania dokładnie się przekonała? — Chcąc o tém mówić, trzeba koniecznie cios tak bolesny doznać,— gdyż ani patrzenie się na jéj łzy rzewne, ani słuchanie jéj cią-

głych narzekań na okropność swojego położenia, nie może być dostateczném.

IV.

Trojanów.

W Trojanowskim kościołku już się skończyły nieszpory, a szczupła ludu gromadka, śpiéwała jeszcze różnotonnym chórem hymny pobożne, przy towarzyszeniu chrapliwego organu. Wkrótce i to umilkło, — wszystkie świa-

tła pogasły, a lud z pokorą dotknąwszy palcem święconéj wody, skrapiał oczy i lice, kładł na się krzyż święty, całował stopy Zbawiciela i powoli wysuwał się na szeroki dziedziniec oszalowany dokoła sosnowémi deskami. Jedni wsiedli do kolas, a drudzy pomimo uprzykrzonéj marcowéj słoty, pieszo zdążali do siedzib.

Chudy zakrystyjan z rożańcem w ręku, obejrzawszy wszystkie ołtarze i zakątki, już miał zamykać kościołek, gdy przed statuą niezgrabnie z drzewa wydłótowaną, wyobrażającą Boga-Rodzicę, — postrzegł modlącą się na

kolanach osobę. Trzykrotnie pękiem kluczów zajęczał, ocknęły się bezsenne echa, trąciły o sufit drewniany — i na nowo rozdawszy się w całéj przestrzeni kościołka, stopniowo słabły, — nareszcie— ucichły.

Osoba modląca się, tak była silnie Bogiem zajęta, iż niesłyszała tego zwiastuna ziemskiéj niecierpliwości. Oczy jéj łzami zalane były na święty wizerunek zwrócone, a ręce wzniesione do nieba, dokąd dusza na skrzydłach myśli wzleciała.

Zakrystyjan po raz drugi brzęknął kluczami, a widząc bezskutecznym swój nakaz, zbliżył się

do niej z wyrazem gniewu na twarzy. Już miał ją słownym rozkazem wyrwać z objęcia pobożnych marzeń, lecz poznawszy w niej swoją znajomą, nieśmiał przerywać modłów: okiem litości przeciągnął po wysmukłéj figurcę i westchnął. Dobrze to nieraz poczciwy Borys powiadał, — pomyślał sobie, — że kto się z panami zadaje ten niezawodnie siebie osromi. Mój Boże! — cóż się to z téj najkrasiwszéj róży zrobiło?

— W tak boleśném pogrążony marzeniu, załamał ręce i przypatrywał się z żalem modlącéj. Była to łat dwudziestu dwóch ko-

bieta, ubogo lecz czysto ubrana Twarz jéj zwiędła i blada jak kielich lilji białéj, przepalonéj skwarem słonecznym, zaledwie lekkie ślady w rysach dawnéj piękności zostawiła. Żywy rumieniec pałający niegdyś uroczo, przystygł na jagodach jak rdza na żelazie, przybrawszy kolor sinawy i jeśliby gra uczuć niemigotała w oczach, można by ją było wziąść za senne widziadło, lub za przywidzenie miłéj pamięci naszéj istoty, na wieki z grona śmiertelników wykreślonéj.

Jakiež to zawiniątko tuż przy jéj kolanach na stopniu ołtarza leży? — pomyślał zakrystyjan,

ciągle się jej przypatrując, — cóż się w niém ukrywać może? — Zapewno jaka ofiara, — ponieważ ona co rok, zwykła przynosić jaki dar z robót własnych, dla upiększenia cudami słynącéj Boga Rodzicy.

Tak — jest to ofiara, — ale z krwi własnéj, — z cząstki własnego życia.

To zawiniątko, jakby dla zaspokojenia ciekawości zakrystyjana, poczęło się ruszać; — nagle, wydobył się głos piskliwy podobny do kwakania puhacza. — Ten głos przeraził go, — zasłonił więc oczy żylastą dłonią i przeszedł na środek kościoła; — lecz dla

modlącéj się był on iskrą ożywną, przywołującą duszę do zbolałego ciała: — ona z pośpiechem podniosła zawiniątko i kołysaniem przy łonie starała się ukoić płacz niemowlęcia.

Dziécie umilkło, a nieszczęśliwa zapłakanémi oczami spojrzała naokoło. Niema nikogo, szepnęła, mój Boże, pewno mnie zamknięto.

Powstała i drobną stopą zakłóciła spokojność kościelną. — Zakrystyjan krok podwoiwszy, zaszedł drogę i z uczuciem politowania, przemówił: Moje dziécie! burza się wzmaga, deszcz z gradem bezustannie klekocze

w rozdołach przebranych już wodą, chciéj więc u mojéj żony przenocować. Ja o tém twoją babkę, dziś jeszcze, dla jéj spokojności, zawiadomię.

— Burza na świecie, odrzekła z zapałem, — niczém jest w porównaniu z burzą mojego serca; — jeżeli więc dotychczas wytrzymuję zażartą walkę uczuć, to ani deszcz, ani grad nieuszkodzą mojemu zdrowiu. Dziękuję wam za troskliwość Ja was odwiedzę jutro, może po jutrze, — a teraz, pozwólcie mi wyjść z kościoła.

— To przynajmniéj zostaw to zawiniątko mojéj opiece?

— Niemogę.

— Ależ — zastanów się nad swoim uporem. Czy słyszysz jak słota nawałnie szeleści po szybach? — a więc to dziécie mogłoby przeziębnąć

— O w piersiach moich dostatkiem jest ognia, — dziécie nie przyziębnie. Lecz, — dodała po chwili, — kto wam powiedział że w tém zawiniątku jest krew moja, honor i miłość? — O wielki Boże! — miałożby moje zhańbienie tak prędko rozejść po mieście, że nawet w świętym przybytku Twoim już wiedzą? — O ja nieszczęśliwa!

Głośne łkanie przerwało jéj mowę. Zakrystyjan milczał, al-

bowiem niemógł na prędce zebrać wyrazów dla jej pocieszenia. Uspokój się, — nareszcie przemówił, — o zhańbieniu, poraz piérwszy z ust twoich słyszę, a że w tém zawiniątku masz dziécie, wiém o tém z jego płaczu, ponieważ przeszło godzina, jestem twoich modłów świadkiem

— Kochany starcze! — zawołała z płaczem, niemów przed nikim coś widział i słyszał, niepowtarzaj nawet sam sobie w duszy, — mógłby cię kto podsłuchać i mnie wyrzucić na pastwę skalających języków; postawić mnie biedną, z niesławioną na widownie świata.

— Co tobie jest — uspokój się — przecież wiész, że honor twój na szwank niewystawiłbym. —

— Tak, — zapomniałam że jesteś przyjacielem mojéj babki. — Wreszcie, mów przed każdym, przed całym nawet światem; — niech miłość moja dla potwora bez serca, ostrzega niedoświadczonych, aby w podobny grzech nie wpadały. Żegnam was starcze, już wieczór, a ja dosyć mam jeszcze drogi, do kresu mojéj podróży. Żegnam was, nie lękajcie się o mnie.

Załosném spójrzeniem pożegna-

ła zakrystyjana i śpiesznie wymknęła się z kościoła, dla uniknienia namów względem przenocowania w komnacie jego małżonki.

Chmura deszczowa, chociaż odsłoniła szarawy błękit nieba gdzieniegdzie już pokryty gwiazdami, jednakże wiatr mroźny, ryczał nad miasteczkiem i przepowiadał nadéjście jeszcze okropniejszéj burzy. Biedna okrywszy wełnianą szaréj barwy chustką niemowlę, zamiast udania się do słobody, poszła drożyną krętą wiodącą w głąb Trojanowa. Czy to się stało z wielkiego roztargnienia, czy z umysłu,

zostawmy czasowi,—a dla obeznania się z miasteczkiem, o którym nieraz wspomniałem, pójdzmy za jéj śladem.

Miasteczko zwane Trojanów, położone śród boru na wzgórzach i rozdołach piaszczystéj ziemi, niezasługuje wcale na rozciągły opis. Brudne i podziurawione, słobody z przysiekami, strzegące między wydmami piasku, gdzie niegdzie pokrytémi burzanem, stanowiły w owym wieku niewielką osadę trudniącą się chowem bydła, uprawą roli i rybołówstwem. — Dwa kołowroty wprowadzały do tego miasteczka, chociaż w wnętrzu jego,

można błądzić dowolnie w rozmaitych kierunkach, gdyż trudno było zajrzeć utorowanéj drogi: — kilka sotni ścieżek tułało się po różnych zakątach — i obiegało wokoło, niemal wszystkie chaty. Przy jednym z tych kołowrotów, stał kościołek, zbity jak dla zabawki z desek, o jednéj kopułcę, — a przy drugim, dwór wzniesiony z grubego dębowego drzewa. w wielu miejscach przez kłótnie wewnętrzne i napady dzikich narodów zniszczony. Wyglądał on, okopcony i mchem po rozpadlinach zarosły, jak grób wygasłej oddawna rodziny. Przy nim, stało kilka za-

budowań deskami krytych, odpowiadających potrzebóm Starego Posadnika, dzisiejszego dziedzica. Pozór więc jego był posępny i powabny, któremu rozległy ogród, w lecie przydawał wdzięku, a w bezlistnéj porze, przyczyniał się do dzikości.

Bity częstokół że szczapów dębowych, otaczał niedbale sad i wszystkie zabudowania, a przed czołem dworu przytykał do dwóch niekształtnych słupów, między któremi, skrzypiały za powiewem wiatru drewniane o dwóch skrzydłach wrota.

Ale my trzymajmy się tego zdania, — że z pozoru o niczém

sądzic nienależy,—pomińmy szeroki dziedziniec przepełniony kolasami i bez trwogi na hałasowanie ogromnych brytanów, albowiem ich gniew hamują żelazne łańcuchy, wnijdzmy do dworu, dokąd właśnie i ta biedna kobiéta z niemowlęciém, powoli zdąża.

Pomimo ogromu na zewnątrz, dwór cały składał się z niewielkich kwadratowych komnat, z powodu dwóch kurytarzy na krzyż w środku budowli będących, pozawieszanych z broją i bronią rozmaitego kalibru i fasonu. Od strony tylko ogrodowéj, była jedna sala, podobno umyślnie ze

czterech komnat urządzona, dla przyjęcia wychowanicy Kniazia Dawida. W téj to sali było cokolwiek przepychu i gustu, bo w innych komnatach stały odwieczne sprzęty, świadki dawnéj zamożności.

Sąsiedzi starego Lassoty, natychmiast zauważali przerobienie na salę tych komnat, w których bardzo wiele pamiątek się mieściło i długo niemogli to strawić, — ciągle pomrukiwali; — lecz Stary Posadnik, wiedząc z doświadczenia że trudno jest każdemu dogodzić, zawsze więc podług swojéj woli postępował i działał Nawet i na dzisiejszą

ucztę, do miodu i źwierzyny z korzeniami, przydał tokajskie wino i konfitury z Kijowa;— ale za ten dostatek nikt anı zmarszczył czoła.

V.

Straszne zjawienie.

Stary Posadnik uszczęśliwiony licznym zbiorem gości, — a szczególniéj obecnością Artemona i Wandy, — ciągle napełniał puhary i zachęcał do spełniania zdrowia, to Kniaziów, to Bojarów, to Radnych panów: — a Dy-

sław otoczony młodzieżą, bujał jak motyl wokoło swojéj narzeczonéj, która zmęczona dwu godzinnym tańcem, uroczo, jak krew z mlekiem wyglądała.

Wszyscy więc byli weseli i zadowolnieni; — jeden tylko Borys z szeroką krésą był pochmurny i milczący; ciągle muskał białe wąsy i bardzo rzadko przesuwał rękę do czary napełnionéj miodem,—bo innego trunku niepijał.

Do północy brzmiała kapela; — starzy pili i o starych gadali rzeczach, — a młodzież, z nadzwyczajną ochotą taniec po tańcu rozpoczynała. W tém kilku torba-

nistów wpadło do sali, uderzyli razem pieśń wesołą i pokazując w skokach i przysiudach rozmaite sztuki i miny, rozbiegli się do przybocznych komnat. Kapela umilkła: całe zgromadzenie posnuło się za torbanistami, których tany i śpiewy przeszło godzinę trwały.

Gdy goście powrócili do tańcującéj sali, postrzegli ogromny stół dębowy uginający się pod ciężarem jadła i napojów. Podziwienie było ogólne nad pomysłem wielkim młodego Lasoty, dotąd jeszcze nie praktykowanym,—gdyż on to użył tak miły fortel do wyprowadzenia

z sali tańcujących, celem przyrządzenia do wspaniałéj wieczerzy.

Podczas przypuszczonego szturmu do stołu, nikt nieposłyszał wnijścia biednéj kobiety, trzymającéj zawiniątko pod wełnianą chustką, która do północy tułała się po kurytarzach jak nietopérz w ciemności. Nawet służba dworska niezauważała, ponieważ była zajęta ciągłém krzątaniem i połykaniem po kątach resztków źwierzyny, zręcznie ściąganych z pod ręki biesiadników.

Biedna kobiéta, miotana żalem i rozpaczą, przedarła się przez tłum gości z równą odwagą jak

żołniérz śród bojowiska. Stanęła między Dysławem i Wandą i głosem łkającym rzekła: Panie zapomniałeś o mnie biédnéj sierocie, — chciéj więc pamiętać o niemowlęciu, równie do niego jak do mnie należącém. Nieczekając odpowiedzi śpiesznie wybiegła z sali.

Głos jéj silny, przemógłszy chaosucinkowych rozmów, ściągnął uwagę całego zgromadzenia Każdy wytrzeszczywszy oczy, z skrzywionym uśmiechem śledził kroki oddalającéj się kobiéty, a młody Lassota poznawszy w niéj nieszczęśliwą ofiarę swojéj zdrady, nieśmiał ust otwo-

rzyć: skrzyżował na piersiach ręce i okiem zatroskaném poglądał na zawiniątko. Wanda powodowana wrodzoną kobiétóm ciekawością, rozrzuciła wełnianą chustkę; postrzegłszy dziécie, z podziwieniem krzyknęła: Boże! co ja widzę!

— To dziécie, rzekł jeden z towarzyszów Dysława, zapewno tą nieszczęśliwa słobodzianka, nie jest w możności wyhodowania go, przeto pod opiekę młodego Lassoty oddała.

— Tak — nieinaczéj, — a lękając się nieboraczka odmówienia, nieumiała nawet jasno się wyrazić, dodał drugi.

— Hola, hola, — wrzasnął kresowaty Borys i wszystkich wzmusił do słuchania, — w téj dziewczynie jak powiadacie biédnéj słobodziancę, Stary Posadnik zapewno poznał wnuczkę Bożeny, która nie jest tak biédną jak się wam zdaje; mogłaby ona to dziécie sama wyhodować. Ale tu zachodzi tajemnica, którą nam p. Dysław najlepiéj wyjaśnić może.

— Żadnéj Bożeny nieznam, odmruknął scicha młody Lassota, ocucony jakby z letargu tém zapytaniem.

— Czy podobna, — krzyknął Borys, — ażebyś nieznał babkę Maryji z słobody Kurzastopka?—

Twoja odpowiedź p. Dysławie, tchnąca czarną podłością, zdjęła bielmo z oczu całemu zgromadzeniu, przez które widziało cię dotąd młodzieńcem postępującym szlachetnie i poczciwie, jak na kozaka, na syna Starego Posadnika przystało.

— Hej! — Borys — Borys! — zawołało kilku mołojców, — do kościoła, na ambonę! tam prawić podobne morały! — a tu proszę nieszarpać niczyjego honoru!

— Milczeć zuchwalcy!

— Milczeć! — cóż to za śmiałość! komu każesz milczeć! — powstał okropny wrzask między

mołojcami, połączony z brzękiem szabel

— Zające wam a nie mnie straszyć, — zawołał z gniewem Borys, — moja szabla nieprzyrosła do pochwy, mogę nią jeszcze pościnać wasze łby baranie jak makówki!

Po tych słowach wydobył ostrze i zrobił niém przed sobą znak krzyża. Młodzież rozbiegła się w kąty Borys przystąpił śmiało do Starego Posadnika i rzekł z przyciukiem. Możecie się poczwanić synem, który niesłuchał Bożego słowa, a poszedł ślepo za namowami szatana. Spójrzaw-

szy z wściekłością na Artemona,— wziął niemowlę z zawiniątkiem i wyszedł.

W sali ponure nastało milczenie. Wszyscy z przerażeniem poglądali po sobie,— a Dysław stał jak martwy, gdyż trwoga, żal i wstyd tak go mocno przejęły, że zimny pot wystąpił mu na licu. Tylko Wiarus, przytomny w każdym razie kozak, bolejąc mocno nad położeniem swojego panicza,— niestracił humoru; — wystąpił na środek sali i rzekł: Przestrzegałem mojego pana miłościwego aby na ucztę nieprzyzywał Borysa, — bo to szalona głowa. Jak tylko czarkę miodu

wychyli, zaraz rozum traci i szuka zaczepki.

— Prawda, prawda kozacze, — odrzekł Stary Posadnik, — lecz już się stało, — ja myślałem że się on odmienił na starość.

— To jednak, krzyknęła młodzież, że Borys piany, burda, najniewinniej spotwarzył Dysława, nikogo nie powinno obrażać i wcale nieprzeszkadzać nam do zabawy. Hej — kapela — grać!

Zabrzmiały torbany i sopiłki; ruch i gwar wzmógł się na sali. Wyniesiono stół w okamgnieniu i rozpoczęły się tany. W początkach szli do tańca niechętnie, — lecz skoro ujrzano w swém gro-

nie krasiwą Wandę i Dysława, natychmiast radość, zamącona na chwilę tak okropną sceną, znowu odżyła.

Do wschodu jutrzenki bezustannie tańcowano. Podżyli są siedzi pili i rozprawiali o rozmaitych przygodach, jakie się im w młodości przytrafiały i śmieli się przy każdém wspomnieniu. Stary Posadnik dla poprawienia humoru Artemonowi, zawiązał rozhowor o Borysie kresowniku, a opisując jego niespokojny charakter, szczególnie gdy się podochoci, w tak czarnych przedstawił kolorach, że on upewnił się o niewinności Dysława i lu-

bował się jego krwią zimną i cierpliwością; on bowiem utrzymywał, że jeśliby w jego był położeniu, to Borys padłby niezawodnie ofiarą śmierci, za rzucenie tak szkalującéj potwarzy.

Ale Dysław całą noc tańczył?— czy się i on o swojéj niewinności przekonał? — O nie podobno. Lecz są ludzie, którzy się weselą jedynie dla zamaskowania czynu najszkaradniejszego. Właśnie i on na dzisiejszy wieczór do tego bractwa się zapisał.

VI.

Ucieczka.

Dzień następny upłynął na samych układach i przygotowaniach, a wieczór na tańcach. Na trzeci dzień dopiero przystąpiono do weselnych godów. Żaden z sąsiadów nieważył się odjechać z dworu, ponieważ Stary Posa-

dnik życzył najgoręcéj, aby byli świadkami świetnego wesela, jakie on dla syna swojego wyprawić postanowił. Służba dworska bezustannie była zajęta, to przyrządzeniem rozmaitych potraw z ryb i źwierzyny, to dobywaniem z lochów drogich napojów. Syn Lassoty, pomimo zafrasowanego serca, tak dotkliwą przygodą, zatrudniał się przyozdobieniem sali, do czego mu wiele dopomagał Wiarus, nieodstępny pocieszyciel. Z Wandą niemógł się on widzieć, z powodu że ojciec jego chciał, aby dawny zwyczaj choć dla zabawy, był zachowany; to jest, aby on na godzinę przed

zawarciem ślubu, porwał niespodzianie gwałtem pannę młodą i zawiózł do kościoła. Stary tylko Artemon wypoczywał w kole podżyłych mężów. Przy Wandzie ciągle było kilka szatnic i Krasnoroda Borysowna, popisująca się swoim gustem, co do ubioru na tak uroczystą galą.

— Z białéj materyi żupanik, — mówiła ona, — w któréj was po raz piérwszy ujrzał syn Lassoty, będzie najlepszym strojem, na dzisiejszą uroczystość.

— Krasnorodo — przystaje na twoje zdanie, odrzekła Wanda smutnie. O gdyby ten ubior mógł mi powrócić choć jedną chwilę

z tych szczęśliwych, jakie doznawałam przy piérwszem zaznajomieniu się z Dysławem, jużbym niechciała więcéj żyć na ziemi. Umarłabym chętnie jedynie dla tego abym z ziemskiego raju przeszła do wiecznego życia. Ale podobno téj chwili żadna moc ziemska niewskrzesi.

— A to dla czego? — przecież on w niczém się niezmienił? — że ma cokolwiek zmieniony humor? cóż w tém dziwnego? — On jest czuły i tak szlachetnie myślący, że nawet pozór rzucony na niego, względem pokrzywdzenia słobodzianki, równie go mocno dotknął, jak sama rzeczywistość.

— Więc i ty utrzymujesz że on jest niewinny?

— Zdaniem mojém, — odrzekła rumieniąc się Krasnoroda,— lepiéj jest wierzyć słowóm starych sąsiadów p. Lassoty, znających dokładnie tę całą okoliczność, jak moim. Skoro więc oni utrzymują że słobodzianka dla tego przyniosła niemowlę, że sama wyhodować nie jest w możności i że przez omyłkę, zamiast przed Starym Posadnikiem położyła je przed jego synem, — na cóżby się przydało moje naj dłuższe w tym sensie rozumowanie. Ot lepiéj będzie, jeżeli Wanda o smutnéj przypadłości my-

ślėć nawet przestanie, a zwróci na to uwagę, żc dla niéj najkrasiwiéj będzie w białym ubiorze.

— Mnie to bynajmniéj dziś niezajmuje, — odrzekła wychowanica Kniazia poprawiając srébrną przepaskę na głowie, — co do przystrojenia zupełnie do twojego stosuję się gustu. Ale któż mi w innėm życzeniu zadosyć uczyni? — Chciałabym wiedzieć, czy Dysław powrócił do zwykłéj wesołości, którą odznaczając w Łucku pomiędzy mołojcami, — dla mnie sprawiał niewysłowioną rozkosz.

— Widziałam go dzisiaj z rana, — podchwyciła Krasnoroda, —

on jest tak wesoły i tak szczęśliwy, jak gdyby nigdy żadnego smutku niedoświadczył. Sam się nawet zajął przystrojeniem sali, w któréj przez kilka dni mają być tany. Ale — ktoś nadchodzi? — może to on? — Lecz dla niego byłoby jeszcze zawcześnie.

Drzwi się otworzyły, wszedł Stary Artemon. Wanda rzuciła się w jego objęcia i rzewnie poczęła płakać

— Uspokój się moje dziécie — mówił rozczulony starzec, — wiém iż dużo nad tém czujesz, że się rozłączasz ze mną; — lecz ja ciebie, moje dziécie, wyhodo-

wałem w cnocie i bojaźni Boga jedynie dla tego, abyś mogła uszczęśliwić którego z synów Bojarskich wysokiego rodu. Padł wybór na syna Starego Posadnika, — kochaj go więc szczérze i poważaj jak ojca, męża i przyjaciela swojego, aż do grobu. Niechaj Bóg was błogosławi i spełni moje życzenia jakie w mém sercu dla was się mieszczą, a usta wyrazić niezdołają.

— Ah — przyjacielu, opiekunie mój, — zawołała z płaczem Wanda! — ty nas do śmierci nieodstąpisz — bo któż mnie będzie w frasunku pocieszał?

— Małżonek twój moje za-

stąpi miejsce. Ja w tym dworze będę dopóty zostawał, dopóki załoga Łucka, stroskana wyjazdem Kniazia, mojéj niezażąda koniecznie obecności.

Po tych słowach uściskał głowę swojéj wychowanicy, pocałował w czoło i wyszedł. Wanda zalała się łzami, a Krasnoroda dla jéj rozweselenia przyniosła wieniec z czerwcu i malin związany i włożyła na jéj głowę jako godło dziewiczego stanu.

— Ja niepojmuję, dla czego płakać w dniu tak szczęśliwym, kiedy najbardziéj cieszyć się potrzeba. Jeśli ja będę wychodzi-

ła za mąż za Jordanka, to ani jednéj łzy nieuronię.

— Kiedyż wasze będzie wesele?— rzekła Wanda uspokoiwszy się cokolwiek. Twój Jordanek, to dziarski chłopak; — ja niewiém dla czego kocham go jak mojego brata.

— O — moje wesele będzie nieprędko! — Za rok a może za dwa, — jak on wróci z wyprawy Tatarskiéj.

— Gdzież on jest teraz, — czy w zamku Łuckim pozostał?

— O nie — on od nas bardzo jest daleko — podobno w Drewlańskiéj ziemi, w zamku Warażskim, jeśli go Kniaź Andrzej

niewziął z sobą do Kijowa, jak mu przyrzekł. Ale to wielkie szczęście że jego teraz niema w Trojanowie.

— Dla czegoż jego niebytność nazywasz szczęściem?

Krasnoroda przez własną nieuwagę sama się wplątała i niewiedziała jaką dać Wandzie odpowiedź. Zarumieniona jak piwonija, chrząkała nim na następne zdobyła się słowa: — on jest wielki gorączka, zapaleniec, gdyby więc był świadkiem rzucenia, jak mówią, potwarzy na Dysława, możeby Borysem i mną pogardził; — on bowiem niezmiernie go za to

kocha, że mu otworzył pole do wojennego zawodu.

Zręczna choć kłamliwa odpowiedź, zaspokoiła tak dobrze wychowanicę Kniazia, że już o nim żadnego niedała więcéj pytania; z czego córka Borysa niezmiernie była zadowolniona, albowiem przy dłuższym o jéj narzeczonym, rozhoworze, mogłaby się wygadać że Jordan był bratem téj biédnéj dziewczyny zjawionéj na uczcie, a tą biédną dziewczyną była Maryja, ubóstwiana niegdyś przez Dysława, — o czém Wanda zatrudniona mocno przygotowaniem do ślubu, na wieki zapomniała.

Znowu się drzwi otworzyły. Tą razą wszedł Stary Posadnik i przyniósł drogie podarunki w imieniu swojego syna. Wanda uradowana, zaledwie miała czas spojrzeć na drogi naszyjnik i błyszczące zausznice. Rzuciła się w objęcia starca.

— Córko moja, — przemówił Lassota, — oby mój syn z równą radością witał cię przez całe życie, jak ja w téj chwili; — obyś mu była zawsze tak droga, miła i przyjemna jak dla mnie teraz. A ponieważ Bóg Najwyższy w osobie twojéj zesłał dla niego dozgonną przyjaciołkę, bądź więc uległą i posłuszną, a nawet po-

błaźliwą, ponieważ tym sposobem, będziesz mogła zaskarbić na wieczną u niego miłość i w waszém pożyciu, żadne nieporozumienie niepowstanie.

Za taką przemowę, łzami i pocałowaniem w rękę podziękowała Wanda Staremu Posadnikowi, gdyż jéj słów niestawało do oddania tych uczuć, jakie jéj serce napełniały.

— Wszyscy się weselą, — przemówiła Krasnoroda po wyjściu Starego Lassoty, — a wy ciągle płaczecie. O gdybym ja to przewidziała, jużbym oddawna była przy moim ojcu.

— Moja dobra Krasnorodo —

nieżałuj tych chwil dla mnie poświęconych. Czuję to że byłabyś daleko spokojniejszą i szczęśliwszą przy swoim ojcu jak przy mnie; — lecz i moje łzy i moja niespokojność wkrótce przeminą. A jeżeli się mój los ustali i same tylko przyjemności nastano, wówczas — ja ciebie uważać będę za siostrę, za moją najwierniejszą przyjaciołkę.

— Wdzięczność za wasze łaski umiem czuć tylko, a wyrazić niepotrafię.

— I niekoniecznie moja dobra Krasnorodo! — moje serce słów niepotrzebuje.

— Wątpię jednakże, odrzekła

Krasnoroda, — aby wasze życzenia mogły mieć skutek. Po waszém weselu, natychmiast będę musiała powrócić do ojca: jego wiek podeszły wymaga mojéj obecności

— O — na to nigdy niezezwolę! — Kniaź Dawid dał mi ciebie za towarzyszkę a serce uznało za przyjaciołkę; — Kniaź więc miłościwy może cię tylko odemnie odebrać, a serce na to zezwolić. Ponieważ jedno i drugie nigdy nienastąpi, — przy mnie tedy, moja dobra Krasnorodo zostaniesz i z mojego domu wyjdziesz za mąż, za Jordana.

— Tak się nigdy stać niemoże; — obowiązkiem jest moim być podporą w niedołężnéj starości ojca. Będę więc musiała od was się odłączyć.

— Krasnorodo, — niemartw mnie! — Powiedziałaś sama, że w dniu dzisiejszym tylko się cieszyć powinnam; — dla czegóż tak smutnie, tak drażliwie do mnie przemawiasz?

— Przepraszam. To moja nieuwaga, to mój żal spowodował wynurzenie tak smutnych uczuć, gdyż sama myśl, że będę musiała was kiedykolwiek pożegnać, już mnie udręcza.

Szczęk broni i silne stąpa-

nie rozlegające się w kurytarzu, przerwało im rozhowor. Kilka szatnic otoczyło Wandę w celu bronienia, w razie natarczywości. Raptem drzwi z trzaskiem się otworzyły, wpadli drużbowie i pomimo wzbraniania się i bronienia, chwycili Wandę pod ręce i podali Dysławowi siedzącemu na cętkowatym rumaku, w bogatym ubiorze, z dużym pękiem kwiatów u piersi. Jak tylko — on ujął Wandę w swoje objęcia, puścił się jak wicher wprost do kościoła przy towarzyszeniu śpiewu, kapeli, klaskaniu i przywoływaniu Ładony. Szatnice załamawszy ręce, jękiem napełniły

powietrze, a sąsiedzi młodzi i starzy, dosiadłszy koni, rzucili się za nim w pogoń i tuż przy kościelnych dognali go wrotach.

Tłum ludzi zebrany na dziedzińcu kościelnym, rozbiegłszy się w kąty przed tak świetnym orszakiem, odsłonił czarną trunę, przy niéj klęczącą starą kobiétę, poważnego starca z kresą i kapłana z kropielnicą i księgą w ręku. Syn Lassoty za jednym rzutem oka poznał ciało zmarłéj Maryji; — dreszcz konwulsyjny przejął jego członki, wypuścił z rąk Wandę, krzyknął z przerażeniem: —„zginąłem, piekło przedemną się otwarło,” — a rozpędza-

jąc mieczem tłoczących się przed nim ludzi, poleciał za miasto przez pola i zarośla, wcale nieszukając drogi.

Wszyscy z podziwieniem patrzali na uciekającego Dysława, — ale nikt niémiał odwagi puścić się jego śladem. Zniknął on szybko z przed oczu widzów, jak gwiazda w posunięciu. Jeden tylko Wiarus, przytomny kozak, zrozumiał dokąd jego panicz jak szalony poleciał, uderzył więc nahajką, dereszowatą szkapę, — ukłonił się już za wrotami zgromadzeniu i w mgnieniu oka, zniknął w iglastym borku.

Do późnego zmroku wszyscy

znajdowali się na dziedzińcu kościelnym. Ciało pogrzebano; tłum ludzi rozszedł się do słobód, już nawet i słónko zapadło w górach, — a syn Lassoty i Wiarus im się niepokazali. Ze smutkiem więc w sercu i łzami w oku powrócili do dworu.

VII.

Wykrycie tajemnicy.

Wszystkich sąsiadów było głównem staraniem, pocieszenie Starego Posadnika, który z żalu i bolu przychodził do rozpaczy, z wściekłością uderzał głową o ścianę, darł na sobie ubior i przeklinał wszystkich, że pozwolili uciec jego synowi

— Gdzież on jest! — wołał żałośnie stary Lassota,— gdzież on, powiedźcie mi, gdyż moje serce pęknie z boleści!

— Puścił się za nim w pogoń stary Wiarus,— przemówił jeden z sąsiadów, on więc pewno niezgubi tropu; — dopędzi go, choćby był na drugim końcu świata.

— O czemuż mnie podówczas niebyło, — mój głos, łzy moje upamiętałyby go w tak szalonéj ucieczcę.

— Już się stało. Nietrzeba jednak tracić nadziei że on powróci. Stary Wiarus będzie go zasłaniał od wszelkiego niebezpieczeń-

stwa jak orzeł swe dziécie. On więc powróci.

— Powróci! — aby na moim grobie opłakiwał swoją nieroztropność.

— Nietrzeba więc rozpaczać, — lecz ukorzyć się przed Bożą wolą, mocą któréj, równie człowiek może być pocieszony jak zasmucony.

Przez takie dobrych sąsiadów napomnienia, Stary Posadnik cokolwiek się uspokoił i uwierzył zapewnieniom, że Dysławowi wyszumi nareszcie szał młodości i że powróci, aby swą stratę jaką poniósł w śmierci Ma-

ryji, wynagrodził połączeniem się z Wandą.

Lecz cóż się stało z biedną wychowanicą Kniazia Dawida? — Nieszczęśliwa! w chwili ucieczki Dysława zemdlała; a gdy otaczające ją kobiety przewiozły do dworu, po raz drugi zemdlała i padła na łoże, bez najmniejszego znaku życia. Stary Artemon musiał użyć wszełkich zaradzczych środków, aby ją ocucić; — nareszcie otworzyła oczy i słabym zapytała głosem: — czy Dysław wrócił?

— Wkrótce powróci.

— Powiedz mu starcze, niech powróci! — ja przynaglać go nie-

będę aby się ze mną połączył.— Zhańbiona publiczną wzgardą, ucieknę z widowni świata, zamknę się w murach klasztornych, aby mnie nigdy ludzkie już niezajrzało oko.

— Wando — przecież on tobą niewzgardził?—Powiadają wszyscy że koń jego, przestraszył się tłumu ludzi zgromadzonego około jakiegoś trupa i uniósł go na pole, za miasto. Ale Wiarus kozak i towarzysz jego, puścił się w pogoń. Pewno więc twój Dysław, dziś jeszcze powróci.

— Mój przyjacielu, starcze, niewierz obmierzłym fałszóm,

ponieważ nie koń a Dysław przeraził się trupem. On niemógł znieść widoku okropnéj ofiary swojéj lekkomyślności Starcze, w tym trupie jam poznała tęż samą biédną dziewczynę, która nam zjawiła się jak mara, na uczcie. Ona miała wielki powód zakłócenia wesołości: — Dysław odebrał jej spokojność i honor. Miał się z nią żenić i zdradził jéj zaufanie.

— Wando — co się tobie marzy! — Przecież Maryja, którą on miłował, wyszła za mąż za sotnika. Słyszałem o tém nietylko od Wiarusa,— Dysława ale nawet i od Starego Posadnika.

— Kłamstwo, kłamstwo mój przyjacielu! wołała z rozpaczą. Uciekajmy starcze, z tego dworu! — w nim tylko obłuda, podłość i zdrady mają siedlisko.

— Dobrze — moje dziécie — wyjedziemy; — lecz się uspokój, niespotwarzaj rodu tak zaszczytnego, z którym natychmiast węzłem małżeńskim się połączysz, jak tylko Dysław powróci.

— Nigdy, nigdy!

Zakryła twarz rękami i bolesném łkaniem wszystkich do łez pobudziła. Po chwili spójrzała na około siebie i krzyknęła: — Gdzież jest Krasnoroda?

— Została przy ojcu, którego przy trupie postrzegła, — odrzekł Artemon, — lecz jutro, a najdaléj po jutrze powróci

— Mój Boże! i tę ostatnią wydarto mi pociechę. Starcze! uciekajmy z tego dworu!

Stroskany Artemon przyrzekł jéj przyśpieszenie wyjazdu, chociaż w duszy postanowił czekać powrotu syna Lassoty; — chciał on koniecznie zatrzéć tak wielkie zhańbienie, jakie spotkało wychowanicę Kniazia.

W kilka dni po téj przygodzie, sąsiedzi przychylni Staremu Posadnikowi rozjechali się do swo-

ich. dzierżaw, niedoczekawszy powrotu ani Dysława, ani jego kozaka. Pozostał tylko Artemon gdyż niémiał po co śpieszyć do Łucka: tam była jak największa spokojność. Często więc ze Starym Lassótą przy puharze wina lub miodu, gdy się zapędził w rozhoworze, to zapominał o smutnéj z Wandą przygodzie, która, gdyby on był samotnie zostawiony,— możeby go w grób wpędziła.

Z kolei różnych opowiadań, padł nakoniec na tę myśl, aby opisać bitwę z Mogołami, w któréj on był jako doradzca przy Kniaziu Dawidzie i nieodstępny

towarzysz broni. Stary Posadnik chcąc dwie razem połączyć przyjemności: używanie świeżego powietrza i słuchanie jego zajmujących opowiadań, — rozkazał hrydniòm przyrządzić w ogrodzie do śniadania. A gdy już wszystko było gotowe, zasiedli oba na sofie, miękko wysłanéj. Wandy przy nich niebyło, gdyż ona nieraz, mający nastąpić opis, z ust Artemona słyszała

„Przed piętnastu laty, każdy spoglądający na rodzinne słobody, smugi i bory, był świadkiem osobliwszego dziwowiska. Nad wszystkiemi ziemiami Ruskiemi, przez kilka dni ani podobna było

zajrzeć błękitu nieba, gdyż był przytłoczony jedną płachtą chmury, zgęszczanéj bezustannie czarnémi wybuchami dymu, które się wydobywały z przygrodków i słobód pożogą zniszczonych. — Słónko przez tę warstwę dymów, napróżno siliło się spójrzeć na ziemię i zbadać kto go tak grubą rozdzielił z nią oponą: — wyglądało ono jak okno okrągłe, oświecone lampą, podczas silnie mglistéj jesiennéj nocy, — to jest wszystkie światła swoje skupiło do środka, a po za obręb koła, nic a nic niebyło działalném. Ale mówiąc prawdę, niemiało już co oświecać na całéj Rusi.

Tatarzy wszystkie grody i sioła zamienili w gruzy i cofnęli się z plonem i niewolnikami na stepy Czarnego morza. Lud nieszczęśliwy, ogołocony z dostatków i siedzib, dla ratowania życia, krył się jak źwierz po borach i skałach i opłakiwał swoją niedolę. Bał się wyjść z legowisk, tak był przerażony najściem dzikiego narodu, — który chorągwie swoje przyozdabiał głowami ich ziomków poległych w boju Wszyscy oczekiwali swych Kniaziów, rychłoli pokażą się z resztkami hufów zbrojnych, jedynie dla ośmielenia do powrotu na miejsca rodzinne i*

do rozpoczęcia na nowo budować siedziby. W tém oczekiwaniu przepełnioném rozmaitémi klęskami, z przyczyn głodu i rozlicznych słabości, nieprędko pociecha wstąpiła do ich serca: bo i żołnierstwo poniosło w bitwach niewynagrodzone straty. — Jak bryła lodu gdy z wierzchołka opoczystéj góry padnie na kamień, rozbrygnie się na drobne kawałki, tak i ruskie rycerswo upadłszy ze szczytu swoich kilkoletnich zwycięztw, rozpierzchło się w rozmaite strony, — a pozbawione dowódzców, kryło się w czaharach i stepach. Nieprędko więc nieszczęśliwe rozbitki

odważyły się zdążać do rodzinnéj ziemi, odarte z odzieży i bez żadnych, do długiéj jeszcze wędrówki, zapasów.

„Wówczas byłem ja przy Kniaziu Dawidzie, w znaczeniu radzcy i towarzysza broni, — przenosiłem więc wszystkie niewygody i znoje bojowe Właśnie, zbliżaliśmy się już do Kijowskiéj ziemi, kiedy dobiegła do nas wiadomość, że niewszystkie jeszcze tabory Tatarskie wyciągnęły z przedziałów dzielnic kniaziowskich. — Baczność i wszelki porządek bojowy natychmiast nakazano. Nieszczęśliwe, znękane rycerstwo, skupiwszy się jak

mogło w hufy, przez gruzy i popioły posuwało się do Dnieprn, za którym spodziewało się znaleść wszelkie bezpieczeństwo i pokój. W naszych hufach był podówczas praworny kozak Mikita, wytrzymały na głód i wszelkie niewygody. Pochodził on w prostej linji od Owady, który od Bolesława Króla Polskiego otrzymał w nagrodę herb Owada za to, że mu wiele dopomógł do powrócenia na tron Kijowski Izasława przygnębionego Połowcami i Wizesławem Kniaziem Ruskim. Bacząc na jego wysokie urodzenie, przytem na odwagę męztwo i przytomność, któremi

się odznaczał śród najokropniejszych niebezpieczeństw,— Kniaź Dawid poruczył jemu dowództwo swych hufów; — a że podobno, był on rodem z ziemi Kijowskiéj, więc jak najszczęśliwiéj przyprowadził nas aż do brzegów Dniepru. Już mieliśmy przeprawiać się na łodziach na drugi brzeg rzeki, ale Kniaź Dawid, z powodu ran otrzymanych, mocno zasłabł; musielismy więc zaniechać przeprawę, postawić na prędce z gałęzi i liści namioty i rozłożyć się obozem. Upłynęło blisko dwa tygodnie, nim Kniaź przyszedł do zdrowia. W ciągu tego czasu

mnóstwo nieszczęśliwych kobiet przybyło do nas dla powitania swych synów i mężów; o naszym albowiem powrocie, szeroko rozeszła się wiadomość, po wszystkich zadnieprskich ziemiach. W liczbie tych kobiet przybyła i żona prawornego Mikity z małém przy piersiach niemowlęciem. Nieszczęśliwa, o mało nieumarła z radości, znalazłszy przy życiu swojego małżonka: padła w jego objęcia i zemdlała Podczas przyprowadzania ją do przytomności, to niemowlę było na mojém ręku. Niemogłem napatrzyć się jego pięknym rysom, równie jak potem zadowolnieniu

rodziców, że się nareszcie, po tylu najboleśniejszych klęskach, mogli z sobą zdybać. Chociaż podówczas wcale mnie nieobchodziły ich domowe stosunki, dowiedziałem się jednakże, że ona w słobodzie, zostawiła jeszcze dwoje małych dzieci: córkę i syna, — a z tą maleńką córą udała się w podróż. Mocno żałuje, dla czego wtedy niewmięszałem się do ich rozhoworu; — wiedziałbym dzisiaj nazwisko słobody. Ale któż mógł przewidzieć tak okropne następstwo? — Zresztą, ciągłe obowiązki przy Kniaziu, niepozwalały mi z nimi rozmawiać.

„Kniaź Dawid wydał rozkaz aby wszystko gotowe było do przeprawy; nazajutrz mieliśmy o świcie puścić się w dalszą podróż. W kilka godzin wszystko już było gotowe do drogi; w tém o północku dał się słyszéć w obozie naszym tentent koni, jakby z pod ziemi wychodzący. Wszyscy ocknęli się, a w téjże chwili dały nam czaty wiedziéć, — że Tatarzy w pobliskim borze się znajdują. Natychmiast po cichu wydano rozkazy. Z każdéj kryjówki wysuwali się żołniérze i pod przewodem Mikity Owady uformowali szeregi do

boju gotowe. Kniaź Dawid dał rozkaz po raz drugi i hufy wyciągnięte w długiéj czarnéj linii, już miały pomykać się do boru; w tém Tatarzy wpadli do obozu zupełnie z przeciwnéj strony.

Mikita Owada nietracąc ani chwili czasu, całą massą rozbitków otoczył naokoło obóz. Tatarzy z wściekłości, że próżny napadli obóz, w pień wszystkie kobiéty i dzieci wycięli, rozniecili ogień i zapalili namioty. Baczność, krzyknął Owada i łucznicy grad strzał puścili w środek ogniska. Tatarzy wyskoczyli, chcieli się przemknąć, lecz zetknąwszy

z nami, znowu do obozu wpadli. W naszym ręku raz poraz jęczały cięciwy. Każdy z nas do tego stopnia, był zemstą uniesiony, iż zapomniał że strzelał do obozu, w którym żonę i dzieci zostawił. Mogoły w różnych pokazywali się punktach, nareszcie przełomawszy jedno skrzydło naszego łańcucha, hurmem rzucili się w ucieczkę. Waleczny Mikita puścił się w pogoń, znowu ich otoczył i wnet na ostrze, krwawa rozpoczęła się utarczka. Kniaź Dawid i ja pośpieszyliśmy mu na pomoc;—starliśmy się z największą zajadłością i jeśliby nawałny deszcz, niezgasił palący się

obóz, żadenby z pogan niewymknął żywy.

„Głos Mikity kilka razy ozwał się śród bitwy dla nadania hufom odwagi; — nareszcie zamilkł. Tatarzy korzystając z ciemności rozbiegli się w strony. Wkrótce utarczka ustała; tylko jęki rannych i konających żołnierzy, rozlegały się w powietrzu. Kniaź Dawid rozkazał rozniecić ogień, aby hufy zebrały się w punkt jeden. Jego rozkaz natychmiast powtórzono w różnych punktach i nasze rozbitki zaledwie w połowie zgromadziły się przed ogniskiem. Mikita, Mikita! z całem wysileniem wołał Dawid, lecz

żaden głos nieodpowiedział. Napróżno z zarzącémi głowniami biegali wszędzie żołnierze i wołali po imieniu swojego dowódzcę, — nigdzie go nieznaleźli. — Wpadli do jego namiotu na wpół spalonego; niestety! ujrzeli jego małżonkę przebitą żelazem, a niemowlę, spokojnie leżące w kącie, przysłonięte gałęźmi; to więc niemowlę przynieśli do Kniazia.

„Nazajutrz o świtaniu, znaleziono między trupami ciało walecznego Mikity Owady. — Kniaź Dawid rzewnie zapłakał nad stratą tak odważnego dowódzcy i kazał tamże, nad brze-

giem Dniepru uczcić go mogiłą. —

„W kilka dni po przybyciu naszém do Łucka, Kniaź Dawid, oceniając wysokie zasługi poległego dowódzcy, przyjął jego córę w dóm swój, dał jéj imie Wanda i zajął się wychowaniem jak własném dziecięciem.”

Stary Posadnik słuchający z największą uwagą jego opowiadanie, powtórzył kilka razy: Owada, i wpadł w głębokie zadumanie. Poczem zawiadomił Artemona, że zmarła niedawno Maryja jest tegoż nazwiska. Dla przekonania się tedy o zupeł-

néj prawdzie czy Wanda nie jest jéj siostrą, jeszcze dnia tego pojechali do słobody Kurzastopka.

VIII.

Powrot z wyprawy.

Nieszczęśliwa Bożena po długich okropnych cierpieniach już była prawie konająca. Przy niéj siedział zasumowany Borys i jego córa.

— Już od godziny Bożena ciągle jęczy i o przeszłości gada, przemó-

wiła Krasnoroda do przybyszów, ponieważ jéj ojciec wstał i wyszedł z izby, jak tylko ujrzał Artemona i Starego Posadnika,— niemogłam jednak nic zrozumieć z jéj przerywanéj mowy. Ciągle wspomina jakiegoś Mikitę Owadę, poległego wraz z żoną i niemowlęciem od Tatarów, to znowu ubolewa nad stratą Maryji, to przywołuje Jordana i zaklina go, aby się pomścił za zhańbienie swojego rodu.

O prawdziwości słów Krasnorody wkrótce Artemon przekonał się; Bożena z całém wysileniem głosu, wspomniała jeszcze raz Mikitę Owadę, Jordana i skonała.

Niema więc wątpliwości, mruknął on przy wychodzie do Starego Posadnika, Wanda jest siostrą Jordana.

Stary Borys jako przyjaciel i sąsiad Bożeny, zatrudnił się pogrzebem jéj ciała. Potém, zawołał jednego z słobodników, zaopatrzył na drogę i wyprawił daleko na stepy, gdzieby odszukał koniecznie Jordana i o wszystkiém jak najdokładniéj zawiadomił. Krasnoroda opiérając się prośbom i naleganiom Wandy, długo nieszła do obowiązku, w którym z woli Kniazia Dawida zostawała; — aż nareszcie, otrzymawszy wiadomość, że jest

niebezpiecznie chora, udała się do Trojanowa. Zastała Wandę mocno cierpiącą: siedząc ona jak martwa na łożu, skinieniem głowy powitała swoją przyjaciołkę.

— Krasnorodo — przemówiła cichym głosem, — tyś o mnie zapomniała, a ja ciągle jestem cierpiąca. Codzień dowiaduję się o rzeczach okropnych. O! na piękne sceny zaprosił nas syn Starego Posadnika. Aż serce pęka gdy o nich wspomnę.

— Wando — on tego niemógł przewidzieć, — są to wypadki.

— Wypadki! — o Krasnorodo, nieuwinniaj Dysława! — On

w oczach moich jest wielkim zbrodniarzem.

— A ja powtarzam że to są wypadki; bo gdyby nie namowy Artemona i nie wysokie łaski Kniazia Dawida, onby nigdy o Maryji niezapomniał: żyłaby ona i jéj babka Bożena. Z resztą, jeżeliby on, o tajemnicy waszego rodu dokładnie był wiedział, — to uprzedziłby Kniazia, że Maryja była waszą siostrą i z nią pewnoby się był ożenił.

— Co? Maryja moją siostrą była? — zawołała z przerażeniem.

— A tak, — ona była córką Mikity Owady.

— Skąd wiész o tem?

— Słyszałam z ust samego Artemona, gdyż właśnie przy mnie odwiedzał wraz z Starym Posadnikiem, już konającą Bożenę.

— O ja nieszczęśliwa! — przez słabość mojego serca, jestem przyczyną śmierci mojéj siostry i babki.

Zakryła twarz rękami i gorzko poczęła płakać

— Uspokój się kochana Wando! — ani łzy, ani wyrzekania już nic niepomogą, — niewywołają ich z grobu. Uspokój się Wando.

— Nigdy, nigdy już spokojną być niemogę! — Wyrzekam się raz nazawsze miłości a nawet

widzenia Dysława! — wyrzekam się wszelkich rozrywek świata! Dziś jeszcze z téj ziemi w daleki kraj wyjadę, — zamknę się w klasztornych murach i o sobie niedam żadnéj nikomu wiadomości.

To co wyrzekła Wanda, przed swoją przyjaciółko, stanowczo powtorzyła Artemonowi. Dziécie moje, — odrzekł rozczulony starzec, — stanie się zadosyć twojemu życzeniu. W krótce odjedziemy. Ja sam to czuję, że tu rzecz każda przypominając tobie okropną chwilę, udręcza niewinne twe serce. Ale w Bogu — moje dziecie, potrzeba mieć ufność:

On nas dotknął nieszczęściem, on téż i pocieszy.

— Właśnie — mój drogi starcze! — w Bogu a nie w ludziach chcę ja szukać pociechy. Pogardzam raz na zawsze światem, jego skarbami i zabawami. Śród nich niéma pokoju, niéma prawdziwego szczęścia: intrygi, obłuda i zdrady, to są główne sprężyny, któremi żądzą się ludzie. Pogardzam więc światem; zamknę się w klasztornych murach, aby te pełzające poczwary, niemiały przystępu do mojego serca.

— Wando! — nienarzekaj na ten świat ziemski. Prawda, przepełniony on jest występkami, lecz

są w nim jeszcze i cnoty. Ty z swoją niewinnością i otwartością możesz być jeszcze szczęśliwą. Uspokój się, — nienarzekaj, — twój Dysław powróci.

— Nieżądam jego powrotu — i jeśli — mój opiekunie — być to może — to chciałabym widzenia się z nim koniecznie uniknąć. — On z serca mego już uleciał, jak marny pył z błyszczącéj stali, który zaćmiewał jéj jasność. On w zdaniu mojém jest potworem czyhającym na zgubę cnoty i niewinności. Ah mój drogi starcze! — uciekajmy stąd — i to dziś jeszcze.

Artemon widząc jéj niezłomne

postanowienie, przyrzekł wkrótce wyjechać. Nawet zaraz po tej rozmowie wydał hrydniom rozkazy przygotowania się do podróży; — jednakże, powziąwszy ze słuchów choć słabą wiadomość, o strasznej i nieszczęśliwej utarczcę z Mogołami nad Okuniewką, postanowił czekać cierpliwie chwili, w której pokażą się w kraju Wołyńcy i dadzą dokładny opis tej bitwy.

Zaledwie w końcu Września zaczęły przemykać się przez ziemię Kijowską rozbite i znękane hufy zaciążne, a rozpierzchając się jak mrówki do różnych miasteczek i słobód, kilku żołnierzy

wkroczyło i do Trojanowa Stary Posadnik natychmiast przyzwał ich do dworu; — ale nic od nich niemógł się dowiedzieć. — Byli to prości osadnicy, którzy wiedzieli tylko *że* się za Mozerem potykali z Tatarami, lecz nieznali dobrze nawet swoich przewodzców, a o Kniaziu Dawidzie i Andrzeju zaledwie słyszeli.

Jeszcze dni kilka w najokropniejszych domysłach upłynęło: — wieści rozgłośnie biegały że odniesiono zwycięztwo nad Kurdasem Chanem Zawolskim, a żaden z Kniaziów Ruskich do swéj dzielnicy niewracał.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Stary Posadnik Artemona, siedząc z nim samotnie, przy czarze syconego miodu, — czy nasi Kniaziowie puścili się w pogoń za Mogołami, — czy w boju polegli?

— Prędzéj na drugi jak na piérwszy domysł zdołam odpowiedzieć Trojnat Skirmuntowicz Kniaź Podlaski i Litwy powilejskiéj, umié zwyciężać, ale téż nazbyt hazardownie działa; — nieustąpi z placu, dopóki ostatni żołnierz nie padnie trupem, jeśli zwycięztwo na przeciwną przeciwną przeważa się stronę; mogli więc nasi Kniaziowie zgi-

nąć, uwieńczywszy skon swój laurem.

— Jakąż tedy przyniesie nam korzyść to pokonanie Tatarów? Skarby i złoto niezastąpią miejsca Kniaziów, w których mieliśmy ojców i opiekunów najlepszych. Zamiast weselenia się ze zwycięztwa, boleść przejmie serca, a łzy żalu napełnią nasze oczy.

— Przeciwko woli Bożej niemożna narzekać. Jeśli poginęli, zapłaczemy na ich grobach, — a Bogu podziękujemy że pozwolił im w tryumfie nad poganami, ziemską wędrówkę zakończyć. Iluż to Kniaziów zeszło z tego

świata, zostawując kraj swój w najopłakańszym stanie?

Z końcem tych słów Artemona, zabrzmiały trąby i bębny za kołowrotem Trojanowskim, od strony Kijowa — Lud na poły strwożony i uradowany wybiegłszy z lepianek, w kilku minutach zatłoczył wszelkie przejścia. Żołnierze zmięszali się z mieszkańcami. Gwar, krzyk, wesołe powitania, płacz i jęki napełniły powietrze; — ale łkania i przekleństwa na pogan przygłuszyły radość. Niestety! mała liczba była szczęśliwych, którzy cieszyli się powrotem do rodzinnéj ziemi ojca, męża, syna lub opiekuna!

Kilku hrydniów wysłanych z dworu dla pogadania z przybyszami, przynieśli wiadomość, że Kniaź Świętosław przybywszy do Kijowa do swojej stolicy, roz dzielił między swe hufy bogate plony i rozpuścił do siedzib.

— A o Kniaziu Dawidzie i jego synie, czy nic niepowiadali? — zapytał Artemon i Lassota razem —

— Upewniają, że polegli na polu bitwy.

Ta straszna odpowiedź wszystkim zamknęła usta. Spoglądali po sobie z żalem. Ich lica śmiertelna bladość zalała, a w oczach

łzy błysnęły. Stary Artemon i Posadnik niemieli odwagi zapytać o Dysława.

W tém na dziedzińcu dworcowym zatentnił rumak. Artemon otarłszy łzy z oczu wyjrzał oknem, ale niewidział jeźdźca, — i nim zdołał obrócić się do Starego Posadnika, już młody, wysmukły kozak, ozdobiony bojarskim łańcuchem był w komnacie. Zbliżył się z dumą do Wandy i rzekł: — Dysław, do stu sotni, zginął od Tatarów. Na dowód przysyła wam krzyżyk złoty dany w upominek. Wanda zemdlała. Jordan wybiegł piorunem; — Krasnoroda tuż za nim się wymknęła. —

Nadaremno Artemon zapraszał go do komnaty; on ująwszy za kibić swoją kochankę, wskoczył na gniadosza; machnął nahajką i zniknął na drodzę prowadzącej do słobody Kurzastopka.

— Ha! witajcie sąsiedzie — zawołał wchodząc do chaty Borysa. Wydarłem waszą córę z rąk jeszcze gorszych, do sotni jak Tatarskich.

— Jordanku! Krasnorodo! — wołał uradowany starzec, przyjmując w objęcia to córę, to młodego kozaka, myślałem że umrę z żalu i tęsknoty po was, moje dzieci.

Jordan otarłszy oczy rękawem

niebieskie, kurtki, przemówił: — Niema już co, do stu sotni, rozpaczać. Spadła na nas kara niebios, my więc z pokorą znieść ją powinniśmy i mieć nadzieje, że bez pociechy Bóg nas niezostawi.

Po wzajemnych wynurzeniach żalu i słodkich pocieszeniach, Jordan począł rozprawiać o smutném zwycięztwie odniesioném nad Tatarami. Borys słuchał z uwagą, a Krasnoroda uśmiechała się ciągle widząc jak on w uniesieniu szturmował to do okien, to Borysa, to wywijał rękami na wszystkie strony.

— Zginęli, do stu sotni, nasi Kniaziowie! — Zginęli też i Litewscy. — Zginął kwiat mołojców, a ci co zostali, niedość że opłakali zwycięztwo nad Tatarami, lecz musieli wiele jeszcze ucierpieć od głodu i pragnienia, nim zdołali przebyć stepy i góry, Wasz posłaniec znalazł mnie właśnie blisko Rossa za Mozerem, gdzie Kurdas Chan, wraz z hordami Pogan Zawolski, Nahajskich i Krymskich najzażarciéj ścierał się z nami Niéma co w rękawy chować. Bitwa była okropna: z jednéj i z drugiéj strony padały trupy jak liści z drzewa podczas jesiennéj burzy. Jednak-

że, jam go dobrze wysłuchał i zrozumiał. Boleść i rozpacz owładnęły sercem; niewiedziałem czy płakać, czy mścić się za osromienie mojego rodu. Rozpacz, do stu sotni wzięła gorę. Ścisnąwszy miecz w dłoni wbiegłem między nasze hufy szukać szatana, który zabił moją siostrę i babkę. Nigdzie niemogłem go znaleść. Wróciłem do moich szeregów i mściłem się do stu sotni, na dziczy pogańskiej: Rąbałem za dziesięciu, — padały w około mnie łby Tatarskie jak makówki przed kosarzem. Tym sposobem torując sobie drogę, wdarłem się po trupach z dwu-sotnią

toporczyków w sam środek hordy Krymskich pogan. Jak poczęliśmy machać na wszystkie strony, Tatarów jak niebyło: rozbiegli się do stu sotni Nagle stanęli i gradem strzał dmuchnęli nam w oczy; my na nich z wściekłością natarli: znowu krwawa nastąpiła walka. Liczba Tatarów była przemagająca. Kniaź Dawid widząc moją waleczność i niebezpieczeństwo, przybiegł na pomoc z dwoma hufami: uzbrojonemi w dzidy i kusze. Tuż za nim nadciągnął Symon Michałowicz Drucki i Pissymunt Turowski i Starodubski Kniaziowie, z swojemi chorągwiami. —

Wówczas to wściekła była rzezanina. Myślałem że koniec świata już będzie. Nareszcie Krymczycy niemogąc dodzierżyć placu, w rozsypkę się puścili. Kniaź Łucki przyskoczył do mnie — rzekł: Owado, jesteś prawym synem Mikity! — Po tych słowach zarzucił na mnie łańcuch bojarski, pokazał ręką w prawą, a sam pośpieszył z wojskiem w przeciwną stronę, gdzie Lubart Kniaź Karaczowski i Czernihowski i Andrzéj syn jego potykali się z Nahajczykami przy samym brzegu Okuniewki. — Wprawdzie zbili na głowę i potopili Tatarów, ale i sami w téj

utarczcę polegli. Ja tym czasem, jak sokoł za zdobyczą, polecia łem w pogoń za Krymczykami. Rozgromiłem, do stu sotni, — plony i jeńców odebrałem. — W liczbie brańców postrzegłszy syna Lassoty, przebiegłem piorunem i jednem cięciem miecza, przeciąłem do stu sotni powróz, co go krępował. Dysław chciał się rzucić w moje objęcia, lecz go odepchnąłem z gniewem. — Precz podły zabójco mojej siostry i babki; niepokazuj się mi na oczy, bo rozpłatam, do stu sotni jak Tatara. Krzyknąłem i wnet z moim hufcem się złączyłem.

Do późnego mroku od rana trwała bezustannie utarczka, — ale już nigdzie niezetknąłem się z Dysławem, Tatarzy w każdym punkcie pokonani, uciekli w bory; — nawet sam Kurdas zaskoczony Nowogrodzianami, Litwinami, Podlasiakami, na czele których był Kniaź Trojnat Skirmuntowicz, już był w krytycznem położeniu, i byłby niezawodnie zginął, gdyby z małą drużyną przybocznikòw' nieubieżał do hordy.

Na drugi dzień o świtaniu, dano mi wiedzieć że jakiś Bojar mocno raniony, chce ze mną pomówić. Możecie się domyślić, że

tym Bojarem był zabójca mojéj siostry; — ale ja przybyłem za późno: — leżał on w namiocie na pół martwy, wsparłszy głowę na pierś już nieżywego Wiarusa, który na jeden krok, przez cały ciąg bitwy, od niego nieodstępował. Podał mi on krzyżyk i rzekł: — oddaj to Wandzie. Żegnam cię — przebacz mi. — W tém począł drgać konwulsyjnie i w kilka minut skonał.

Jordan zamilkł, zapłakał, — i Borys dla łez otarcia podniósł dłoń starą. W tejże chwili wszedł dworzanin Starego Lassoty z oznajmieniem Jordanowi, że Wan

da jego siostra chce się z nim widzieć.

— Ja niémam do stu sotni siostry— moja Maryja w grobie.— wrzasnął z gniewem, schwycił za barki dworzanina i wytrącił za próg.

Każdy z łatwością odgadnie, jaki być może koniec téj powieści, jeśli tylko przypomni sobie, że Jordan i Krasnoroda, z lat najmłodszych byli z sobą zaręczeni: — dodam więc tylko, że Stary Posadnik nagle umarł, a obecni jego śmierci dowodzili i upewniali, że z wielkiego żalu po stracie syna, pękła w nim żyła; — że Artemon i Wanda w kilka dni

wyjechali z Trojanowa, ale dokąd i po co, niewiadomo, — ponieważ Jordan, do stu sotni, tak był na nich rozsierdzony, że nawet słuchać niechciał, jeśli kto gwałtem chciał o nich mówić.

Pewno musieli już umrzeć.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

I OSTATNIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW

TOMU TRZECIEGO.